

XIX Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Marii Komornickiej
Kozienski Dom Kultury im. Bogusława Klimczuka – KOZIENICE 2021
Andrzej Zawadzki – kategoria dorośli – proza – II miejsce

Godło: Kajet

Dzięcioł

Kto się zlituje choćby nad maleńkim ptaszkiem, temu Bóg okaże litość w dniu Zmartwychwstania

Mahomet

Przedwczoraj mamusia powiedziała do tatki:

— To już duży chłopak, niech pójdzie i zobaczy, jak brata chowają.

Więc zabrali mnie na pierwszy w życiu pogrzeb. Janek był dwa lata starszy. Kiedy w ubiegłym roku, zaraz po powrocie z wysiedlenia, umarła na suchoty Ewunia, ani Janek, ani ja, ani reszta rodzeństwa, na pogrzebie nie byliśmy - kazali nam iść do Marczaków i tam posiedzieć na podwórku. Mamusia wzięła tylko na ręce Stefcie, bo ona jeszcze sama słabo chodziła, i poszli z tatkiem do kościoła w Stopnicy. Pamiętam tylko, że jak wrócili, to mamusia bardzo płakała. Teraz, na pogrzebie Janka, już aż tak nie płakała. Może Ewunię bardziej kochała, albo przywykła już do tych pogrzebów, bo było ich we wsi co niemiara. Za to bardzo krzyczała wcześniej na tatkę, że Janka nie upilnował. Pamiętam, że jak usłyszeliśmy eksplozję, mamusia westchnęła:

— Boże, znów mina wybuchła.

I natychmiast zawołała:

— A gdzie Janek?

— Powiedział, że pójdzie pobiegać z Burkiem do dzieciaków Gajków. Mówiłem mu, żeby nie wychodzili za gościniec.

Nie wiem jak to się stało, ale mamusia wiedziała, że to Janka rozerwała mina. Nawet nie musiała tam biec. Janka już nie widziałem, bo nie pozwolili patrzeć, ale następnego dnia zabrali mnie na pogrzeb. Zostałem przecież najstarszym z rodzeństwa. Widziałem księdza na czarno i dużo ludzi w żałobnych okryciach, bo prawie każdy kogoś ostatnio pochował.

Kiedy wracałem z tego całego pogrzebu pomyślałem, że teraz Janka porcja będzie na nas wszystkich rozdzielona. Jeść nie było co, od kiedy pamiętam. Tatko z mamusią trzymali zapas jedzenia pod swoim siennikiem, bo pewnie byśmy z Jankiem i z maluchami zjedli cały tygodniowy przydział na raz. Mamusia chodziła gdzieś z torbą po jedzenie dla nas, ale często wracała i nic nie przynosiła. Brała zawsze Stefcie na ręce, bo wtedy miała nadzieję,

że cokolwiek dostanie. Kiedy szedłem głodny spać, obiecywała, że rano się najem, bo ugotuje dużą garść kaszy, a Janek idzie do szkoły, to tam dostanie kanapkę.

Zaczęliśmy chodzić z Jankiem do szkoły w Pieczonogach jesienią. To znaczy, chodziliśmy do pierwszej klasy, bo Janek wszystko zapomniał, czego nauczył się przed wysiedleniem, ale byliśmy w szkole na zmianę, bo mieliśmy jedną parę butów, choć każdy miał swój kajet. Przy domu chodziliśmy w drewniakach, które wszystkim tatko wystrugał z lipowego drewna. Były dobre, bo każdy miał swoje, ale w drewniakach nie pozwalali nam iść do szkoły, więc siedzieliśmy cały czas w ziemiance. Było ciepło, tylko dym szczypał strasznie w oczy. Krowa stała za drzwiami, więc tak bardzo gnojem nie śmierdziało, jak latem. Ale jeść się chciało jeszcze bardziej niż na podwórku.

Zaraz po powrocie z wysiedlenia, gdzieś tak w kwietniu, poprosiłem tatkę i powiesił na orzechu przy studni budkę dla ptaków, którą zbił z kilku desek ocalałych ze stodoły. Siedziałem potem przez kilka dni przed ziemianką, by patrzeć, czy jakiś ptaszek się zadomowi. Jasiek się śmiał, że nic z tego nie będzie, bo ptaki też wyginęły, gdy front przechodził. A mamusia, pamiętam, pytała tatkę, czy aby nie za mała ta dziurka, bo jaki ptak przez taką wejdzie. Dziurka jest taka, jaki był sęk w desce, odpowiadał tatko. Przecież nie miał żadnych narzędzi, by otwór powiększyć. Po kilku dniach, kiedy już myślałem, że ptaszka żadnego nie będzie, zobaczyłem, że zajrzała do niej mała sikorka z żółtą główką. - Pewnie przyleciała zobaczyć, czy da się tu zamieszkać – pomyślałem. Pobiegnę do ziemianki, gdzie Tadzio i Zenia siedzieli na sienniku, a Stefcia raczkowała koło nich i z radością zawołałem, że w mojej budce już są sikorki. Żadne z nich nawet nie chciało wyjść, by to zobaczyć. Może to i dobrze, bo przecież żadnych ptaszków jeszcze tam nie było. Od tego czasu całymi godzinami wpatrywałem się w otwór po sęku. Któregoś dnia zobaczyłem, że na orzechu usiadły dwie sikorki i jedna z nich weszła do środka. Ze szczęścia niemal nie krzyknąłem, choć tatko przestrzegał mnie, żebym się nie ruszał ani nie wołał, kiedy ptaszki będą w pobliżu. Potem już każdą chwilę spędzałem na pieńku, skąd najlepiej było widać przylatujących lokatorów mojej budki. Tatko powiedział, że teraz samiczka będzie wysiadywała jajka, a samiec będzie jej przynosił jedzenie. Nasz kot, Pyszczek często spoglądał w stronę budki, ale tatko mnie uspokoił, że przez dziurkę to Pyszczek nic małym ptaszkom nie zrobi, a starego ptaka w locie przecież nie złowi. Chyba żeby któryś pisklak wypadł z budki, wtedy kot może go zeżreć. Czekałem więc siedząc godzinami, kiedy pojawi się znak, że są małe i by - w razie czego - chronić je przed Pyszcziem.

— Jak on tam przy tych ptakach siedzi, to nawet jeść nie woła — powiedziała kiedyś mama do tatki.

Zanim zobaczyłem pisklęta, wydarzyło się coś strasznego. Kiedy przybiegłem któregoś ranka na miejsce obserwacji, usłyszałem rytmiczne stukanie w budkę. To duży dzięcioł walił dziobem w deskę poniżej otworu. Machnąłem ręką i odleciał, choć tylko na najbliższy świerk. Więc krzyknąłem, by odpędzić go dalej. Z przerażeniem zobaczyłem, że dzięcioł wydziobał już nocą maleńką dziurkę w desce. Jeszcze chwila i dostałby się do środka, choć nie wiedziałem, po co. Później tatko powiedział, że pewnie ten dzięcioł chciał powiększyć otwór, by samemu założyć tam gniazdo. Od tego czasu, poza oczekiwaniem na pokazanie się

młodych sikorek, pilnowałem budki przed dzięciołem. Dla dodania sobie odwagi wolałem mieć przy sobie Burka, by w razie konieczności zaszczekał. Na nic to się zdało. Gdy wyszedłem kiedyś rano do moich ptaszków, zobaczyłem, że w budce jest duża dziura. Dzięcioł, nie bacząc na to, że jestem pod drzewem, dopadł do otworu, wsadził tam dziób, wyciągnął małego ptaszka i odleciał. Wpadłem z płaczem do ziemianki.

— Pewnie z głodu dzięcioły porywają pisklęta mniejszych ptaków — powiedział tatko.

Doskonale wiedziałem, co to głód, więc nie musiał mi niczego więcej tłumaczyć. Mamusia chciała mi dać kromkę chleba, żebym przestał płakać, ale nie chciałem jeść, tylko płakałem do zaśnięcia.

Wróciłem do pasania krowy na rowie, bo lubiłem to zajęcie. Tej krowy, którą dostaliśmy od cioci Rozalki, gdy wracaliśmy z wysiedlenia, zazdrościli nam wszyscy, bo krów dających mleko było w całej wsi tylko kilka. Wymienialiśmy z sąsiadami mleko na kaszę i mąkę od „cioci unrry”, jak mówiła mamusia.

— To nasza prawdziwa żywicielka — mówiła często o Łaciatej mamusia i tatko też.

Dlatego szedłem czasem z nią daleko wygonem, by znalazła w rowie lepszą trawę i dała więcej mleka. Lubiałem do niej mówić, i ona chyba mnie rozumiała, choć czasem była uparta i ciągnęła mnie z postronkiem za rów, gdzie mogły być miny.

Dziś rano, gdy się obudziłem, mamusia powiedziała:

— Teraz już będziesz chodził do szkoły każdego dnia, bo masz buty tylko dla siebie. I co dzień będziesz miał bułkę w szkole — dodała.